

Przykład głupoty numer jeden

Kiedy nadchodzi czas rozliczeń, człowiek zazwyczaj zostaje sam, inni się od niego odwracają. Zazwyczaj, bo w przypadku Marka Haslika (prokurator uznał, że ujawnieniu nazwiska znachora jeszcze przed wyrokiem przyświeca ważny interes społeczny) ta zasada nie zdała egzaminu. Stało się wręcz odwrotnie. Wyznawcy Bożego Człowieka nie opuścili go w biedzie. Tłum zebrany w sądzie był niczym buldożer gotowy zrównać z ziemią każdego, kto ośmieli się powiedzieć choć jedno złe słowo o ich uzdrowicielu. Wszak leczył, pomagał, robił to wszystko z dobroci serca (sąd nakaże mu później zwrócić 61 720 złotych, jakie uzyskał ze swojej działalności). Mała Madzia nie żyje, bo widać Bóg tak chciał, ukochał ją szczególnie, dlatego wezwał do siebie. Jeśli już trzeba kogoś winić, to rodziców, do nich można mieć pretensje.

Ta historia zaczyna się dużo wcześniej, jeszcze przed narodzinami Magdy. Joanna i Michał P. z Brzeznej to ludzie wierzący, bogobojni, co niedzielę są na mszy w kościele. Wykształceni. Oboje po Wyższej Szkole Biznesu, pracują w rodzinnej firmie produkującej lustra. Jak na warunki małej wsi, w której przyszło im mieszkać, są bardzo nowocześni, może nawet nazbyt światowi. Podróżują, spędzają weekendy w spa, są „eko”: zdrowo się odżywiają, interesują się medycyną alternatywną, są przeciwnikami obowiązkowych szczepień (Joanna na swoim Facebooku linkuje program o możliwych poszczepiennych powikłaniach i cieszy się, że w końcu ktoś głośno o tym mówi). Mieszkają w pięknym domu z ogrodem, placem zabaw. Niczego im do szczęścia nie brakuje. Mają już pięcioletniego synka Piotrusia. Madzia to ich drugie, wymarzone, długo wyczekiwane dziecko. Joanna nie kryje się ze swoją radością, dzieli się nią ze znajomymi w internecie.

Bożego Człowieka znają od kilku lat. Pomógł im już kiedyś. Wierzą mu więc bez zastrzeżeń. Nie ma co zatem dziwić, że kiedy Madzia zaczyna chorować (na jej skórze pojawiają się dziwne zmiany), zwracają się właśnie do niego. Znachor ma renomę w Nowosądeckiem,

zresztą nie tylko tam, przyjeżdżają do niego ludzi z całej Polski. Haslik zaleca, aby dziewczynce co pół godziny podawać kilka kropli koziego mleka.

Joanna nie przesypia nocy, by wywiązać się z tych zaleceń. Nastawia budzik. Cały czas jest na posterunku. Zwykle kozie mleko nie powinno dziecku zaszkodzić, ale akurat Madzia (tego rodzice na razie nie wiedzą) jest na nie uczulona. Czuje się coraz gorzej, traci na wadze.

Znachor utrzymuje jednak, że to stan naturalny, tak reaguje organizm walczący z chorobą. Od pogorszenia do ozdrowienia. Podobnie jak przy leczeniu nowotworów: podajemy chemię, która powoduje degradację organizmu, po to by zniszczyć złośliwą komórkę i doprowadzić do wyzdrowienia.

Ale najważniejszy przekaz, jaki Marek Haslik kieruje do wszystkich swoich pacjentów, jest jeden: zero kontaktów z lekarzami. Kontakty z lekarzami mogą spowodować odwrotny skutek w procesie leczenia, nasilenie choroby, zaostrzenie jej objawów.

Joanna i Michał P. stawiają mur wokół siebie, zrywają kontakt z rodziną, nawet najbliższą. Nie życzą sobie odwiedzin. Nie wpuszczają do domu pielęgniarki środowiskowej. Wypisują dziecko z przychodni. Ojciec przynosi zaświadczenie ze Słowacji, gdzie prowadzi jedną z jego firm, że dziecko jest pod opieką innego specjalisty. Są przekonani, że tak właśnie będzie dla Madzi najlepiej.

Głód to uczucie dojmujące jak mało które. Tortura stosowana niekiedy do wymuszenia posłuszeństwa. Dorosły człowiek może przeżyć bez jedzenia około dwóch, trzech tygodni. U niemowląt ten czas ulega wydłużeniu. Mała Madzia z Brzeznej umiera powoli przez trzy miesiące. W chwili śmierci ma pół roczku, waży trzy i pół kilograma.

W oczach wyznawców Boży Człowiek ma włosy jaśniejsze niczym aureola. Jest średniego wzrostu, szczupłej budowy ciała. Oczy ma brązowe, twarz dobrotliwą, budzi zaufanie. Głos jego jest dźwięczny. Wydziela woń cudowną, nie z tej ziemi. Anielską. Widzi więcej, wie

więcej. Potrafi wyleczyć każdego i ze wszystkiego. Chore kiszki leczy koronką do miłosierdzia, raka –modlitwą i ziołami, białaczkę i hemoroidy –wahadełkiem.

W opinii krytyków, przez których przemawia diabeł, pociąga za sznurki jak u marionetki, Marek Haslik wcale nie jest Bożym Człowiekiem tylko najzwyczajszym kierowcą ciężarówki, który skończył technikum kolejowe. W wieku okołoemerytalnym. Skłóconym z rodziną. Skazanym za składanie nieprawdziwych zeznań (o tym za chwilę). A te zioła, które sprzedawał za grube pieniądze –i w tym już wyraźnie widać działanie szatana, który chce pana Marka skompromitować –to nic innego jak trawa z przydomowego ogródka.

Haslik mieszka w Nowym Sączu przy ul. Radzieckiej –nazwanej tak nie od Związku Radzieckiego, tylko od rajców –w drewnianej chałupie z kamiennym fundamentem. Stamtąd w maju 2014 roku zabiera go policja. Ogród jest pełen ludzi czekających na wizytę u swojego znachora.

W sądzie Boży Człowiek zachowuje się spokojnie. Jest milczący, zamknięty w sobie. Nie składa wyjaśnień. Nie przyznaje się do winy. Nie wyraża wyrzutów sumienia. Niczego w ogóle nie wyraża.

Na korytarzu jego wyznawcy wręczają mu kwiaty, deklarują: „Jesteśmy z panem, dziękujemy, że pan wytrwał w prawdzie!”. O takich rzeczach tylko się słyszy: o sektach, w których guru przejmuje kontrolę nad ludzkimi umysłami...

–Na posiedzeniach sądu widziałem dziesiątki osób, które krzyczały obraźliwe słowa pod adresem prokuratora kierującego akt oskarżenia, skandowały różne hasła w obronie znachora, stawały za nim murem, pokazywały swoje dzieci na wózkach, o kulach, jako przykłady jego ozdrowieńczej działalności –wylicza Janusz Kaczmarek, prawnik reprezentujący rodziców Magdy, były prokurator krajowy i były minister spraw wewnętrznych i administracji. –. Bezgranicznie wierzyły, że to właśnie on wyleczył ich, ich dzieci. Całkowicie wyparły ze świadomości, że ten człowiek ponosi jakąkolwiek winę za śmierć Magdy. To był tłum, który

uważał, że rodzice dziewczynki zdradzili ich społeczność, odwrócili się od ich dobrodzieja-cudotwórcy, który chciał tylko dobrze, i próbują mu zaszkodzić.

Nie zadziera się z Boską Mocą, to jasne. Kto się na nią zamierzy, zostanie ukarany. Więc E., mama Przemka z Łukawicy spod Limanowej, do końca szła w zaparte. Od dawna z mężem starali się o dziecko. Kiedy w końcu przyszło na świat, rzuciła pracę, by tylko jemu się poświęcić. Chłopiec rósł szczęśliwy, miał dobry apetyt. Jeździł z mamą na zakupy, wspólnie gotowali obiady, nie rozstawali się ani na chwilę. Ta sielanka skończyła się, kiedy się okazało, że ma uszkodzone nerki. Przemek tracił białko w organizmie, puchł, mdlał, robił się coraz słabszy. Lekarzom z Prokocimia udało się postawić go na nogi. Dokładnie poinstruowali matkę, jak ma się nim opiekować: musi mu podawać lek o nazwie encorton, regularnie badać poziom białka w moczu. Ale E. zamiast na kolejną wizytę w szpitalu zabrała syna do sądeckiego znachora. Odstawiła leki i zawierzyła Bożemu Człowiekowi i jego cudownej mocy. Nerki chłopca przestały pracować i chłopiec zmarł. Haslik zeznawał wtedy, że nie leczył Przemka, ba, on go nawet nie znał! Tymczasem policjanci zanotowali w protokole oględzin zwłok, że gdy przyjechali do domu w Łukowicy, obok wersalki, na której leżał martwy chłopiec, siedział właśnie znachor. Myśleli, że to ktoś z rodziny, ale przedstawił się, że jest obcy, wpadł z wizytą. Matka Przemka nigdy się nie przyznała, że korzystała z pomocy uzdrowiciela, nie potrafiła wyjaśnić, po co do niego telefonowała. Zapomniała, tak samo jak jej siostra i szwagier, że u niej bywał. Całą winę wzięła na siebie. Została skazana za nieumyślne spowodowanie śmierci przez zaniechanie leczenia. Haslika skazano wtedy tylko za składanie fałszywych zeznań.

–Byłem wówczas szefem Izby Lekarskiej, osobiście składałem w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury –przypomina sobie dr Jerzy Friediger. –Dostałem odpowiedź, że działalność tego znachora ma znikomą szkodliwość społeczną. Że trudno mu cokolwiek udowodnić. Ten człowiek miał więcej takich wpadek na koncie. Ale nikt nie chciał złożyć na niego

doniesienia. Zdecydowanie wyraziłem swoją opinię na ten temat w kilku programach telewizyjnych. Odbierałem później wiele telefonów z pretensjami, dlaczego tak pana Marka niszcę.

Okręgowa Izba Lekarska próbowała rozprawić się ze znachorem już wcześniej. W 2004 roku na stacji benzynowej w Muszynie zmarł mężczyzna. Pękł mu tętniak w brzuchu. Córka pana Aleksandra zgłosiła, że ojciec rozstał się z tym światem tuż po wizycie u Haslika, który leczył go ziołami. Zalecił zaś odstawienie leków. Śledztwo umorzono. Nie było znamion przestępstwa. Nikt z klientów Haslika nie chciał zeznać, że ten żądał od nich pieniędzy. Wszyscy twierdzili, że datki były dobrowolne. Prokurator uznał, że powoływanie się na nadprzyrodzone, boskie moce nie jest karalne, zaś zmarły... powinien był chodzić do lekarza. W przypadku Madzi z Brzeznej zawiadomienie o przestępstwie złożył szpital. Rodzice nawet siedząc w areszcie, nie chcieli zeznawać przeciwko znachorowi. Dopiero po pewnym czasie spostrzegli, gdzie leży prawdziwa przyczyna śmierci ich dziecka.

–Muszę stanąć w obronie tych rodziców –podkreśla mecenas Kaczmarek. –Nie co do ich działania, ale motywacji. Oni mieli najlepsze chęci, robili we własnym mylnym przekonaniu wszystko, by ich dziecko wyzdrowiało.

Rodzic ma obowiązek –tak mówi prawo –dbać o swoje dziecko, o jego wychowanie, o to, aby nic mu się nie stało. Ma obowiązek zapisać go po urodzeniu w przychodni, stawiać się na wizyty kontrolne, szczepić dziecko. Co nie znaczy, że nie ma prawa zabrać dziecka do znachora. Nie ma tu specjalnych regulacji. Prawo wkracza dopiero wtedy, kiedy coś się stanie.

P. zostali oskarżeni o znęcanie się ze szczególnym okrucieństwem i nieumyślne spowodowanie śmierci swojej córeczki. Dobrowolnie poddali się karze. Sąd wymierzył im pół roku więzienia (na poczet kary zaliczono czas, kiedy przebywali w areszcie). Musieli też zapłacić dwadzieścia sześć tysięcy złotych na rzecz Funduszu Pokrzywdzonych i Pomocy

Postpenitencjarnej i poddać się psychoterapii. Przez dwa lata mieli opiekować się osobami starszymi, po czterdzieści godzin w miesiącu.

Znachor usłyszał zarzut „sprawstwa kierowniczego”, gdyż to właśnie jego porady doprowadziły do śmierci dziecka. Odpowiadał za narażenie dziewczynki na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia i w konsekwencji jej zgon oraz za świadczenie usług medycznych bez uprawnień. Sąd skazał go na trzy i pół roku bezwzględnego więzienia, karę grzywny w wysokości ośmiu tysięcy złotych i przepadek blisko sześćdziesięciu dwóch tysięcy złotych, jakie zdobył, stosując swoje pseudolekarskie praktyki.

Przykład głupoty numer dwa:

O sprawie Przemka było cicho, ale o małej Madzi z Brzeznej słyszeli wszyscy. Musieli też słyszeć rodzice dwunastoletniego Bogusia. Nie dało im to do myślenia, nie wyciągnęli wniosków, które pozwoliłyby uniknąć tragedii.

Choroba Bogusia zaczęła się niewinnie. Na początku lekarze podejrzewali zapalenie zatoki przynosowej. Trafił więc do laryngologa i alergologa, przeszedł niezbędne badania. Prawda okazała się najgorsza z możliwych, diagnoza w uszach przerażonych rodziców zabrzmiała jak wyrok: ostra białaczka limfoblastyczna.

Boguś rozpoczął leczenie w szpitalu w Łodzi. Rokowania nie były złe, przeciwnie. Lekarze byli pełni nadziei, dawali mu dużą szansę na powrót do zdrowia. Taki rak to najczęstszy nowotwór u dzieci, leczenie w większości przypadków jest skuteczne. Rodzice nie potrafili jednak zaufać medycynie. Tym bardziej gdy dostali do podpisania zgodę na chemioterapię, która w ostatnim punkcie straszyla, że Boguś może tego nie przeżyć. Po dwunastu dniach, czyli na początku pierwszego cyklu chemioterapii, chłopiec został wypuszczony na przepustkę do domu. I więcej do szpitala nie wrócił.

–Bogusł spędził pół miesiąca w szpitalu –tłumaczył później dziennikarzom ojciec. –Dostał siedem wlewów chemii, którą źle znosił. Gasł na naszych oczach. Początkowo lekarze dawali 70 procent szans na wygraną z rakiem. Przed wypuszczeniem na przepustkę tylko 20 procent. Wiedzieliśmy, że chemioterapia nie jest tym, czego chcemy. Zaczęliśmy szukać alternatywnych metod walki z nowotworem.

Szansę na zdrowie dla Bogusia znaleźli –byli o tym przekonani –w Ośrodku Niekonwencjonalnej Terapii Antyrakowej w Kosarzyskach. Na zdjęciach na stronie internetowej można zobaczyć drewniany dom w góralskim stylu, z pokojami gościnnymi, stojący na polanie pod lasem, „w ekologicznie czystej miejscowości, z dala od ruchliwych dróg –chwali się ośrodek –co pozwala skupić się na tym, co najważniejsze”. Za trzytygodniowy pobyt trzeba było zapłacić trzynaście tysięcy złotych. W tej cenie chory dostaje: suplementy diety, specjalną dietę (bez mięsa, cukru, tłuszczów zwierzęcych, białego pieczywa), sok z zielonego jęczmienia i wodę Kangen. Wszystko co niezbędne do walki z chorobą nowotworową. Bo to właśnie główny cel ośrodka. „Stosujemy metody, które w Meksyku i w Niemczech przyniosły rewelacyjnie dużą liczbę wyzdrowień, remisji czy też znacznego złagodzenia skutków choroby nowotworowej już po kilku tygodniach terapii”. Właściciel ośrodka –inżynier mechanik Ryszard K., szczupły, siwy, z wąsem, kiedy uśmiecha się swym pogodnym, beztroskim uśmiechem, na czole zaznaczają mu się głębokie bruzdy – wierzy w dobroczynne, lecznicze działanie amigdaliny, zwanej również witaminą B17 (nigdy żadne badania kliniczne nie wykazały jej antynowotworowego działania). Ją właśnie podaje swoim kuracjom. K. „odkrył” specyfik po tym, jak na nowotwór zmarła jego matka. Szukał informacji na temat różnych sposobów walki z rakiem. Mamy nie mógł już uratować, dla niej było za późno. Ale –pomyślał –skoro są takie możliwości, to czemu innym chorym nie dać szansy? A przy okazji na tym nie zarobić. Amigdalina występuje w pestkach wielu roślin, między innymi migdałowca, pigwy, moreli czy wiśni. W organizmie w wyniku jej

rozpadu powstaje toksyczny cyjanowodór. XIX-wieczne teorie dowodzą, że jest on wchłaniany wybiórczo, tylko przez komórki nowotworowe. Jednak współczesna nauka już dawno obaliła ten mit. Amigdalina nie tylko nie ma żadnych właściwości terapeutycznych, ale jest wręcz niebezpieczna, trująca.

Szpital, z którego Boguś został zabrany, po pewnym czasie skontaktował się z rodzicami. Zapewnili, że dziecko kontynuuje terapię w Monachium. Okazało się to nieprawdą. Lekarze powiadomili więc sąd, który uznał, że nie ma podstaw, by wszczynać postępowanie. Nieleczony Boguś zmarł. Znachor i rodzice są przekonani i przekonują innych, że to dlatego, że poszedł do lasu na grzyby i przemoczył buty. –Po kuracji syn czuł się znakomicie – zapewnia tata Bogusia. –Potwierdzały to też wyniki badań. W krwi było mniej komórek rakowych. Terapia na niego działała. I pewnie gdyby nie przeziębienie nasz syn by żył. My nie winimy pana Ryszarda.

O poddaniu syna terapii alternatywnej zdecydował wspólnie z żoną, hipnoterapeutką, która teraz mówi: „My wiedzieliśmy, że dusza Bogusia nie chce już żyć. Dwa dni po swoich urodzinach odszedł. Nie żyje, bo miał nie żyć. Po prostu. Miał odejść”.

Ryszardem K. i prowadzonym przez niego ośrodkiem prokurator zainteresował się bliżej po doniesieniach, że współpracują z nim lekarze: kardiolog i pediatra pozbawiony prawa do wykonywania zawodu. Pewnego dnia pediatra wezwał karetkę do pacjenta, któremu się pogorszyło. Ratownicy wyczuli od lekarza alkohol i wezwali policję. Funkcjonariusze zaczęli się zastanawiać, czy działalność ośrodka jest w ogóle legalna, czy nie szkodzi się tam pacjentom. Drobiazgowo przyjrano się procederowi. Powołani do sprawy biegli stwierdzili, że zarówno terapia, jak i proponowana chorym dieta mogą być niebezpieczne dla zdrowia. Prokurator postawił K. zarzut narażania ludzi na niebezpieczeństwo utraty zdrowia albo życia i oszustwo. Mechanik nie przyznał się do winy, odmówił składania wyjaśnień. Zastosowano wobec niego poręcznie majątkowe w wysokości dziesięciu tysięcy złotych, i zakaz

prowadzenia działalności paramedycznej. Od tej decyzji K. się odwołał. Postanowił jednak nie czekać na sądowe rozstrzygnięcie sprawy i nadal podaje amigdalinę chorym na raka, teraz już nie w ośrodku, jeździ do nich do domów.

K. nie czuje się winny, nie ma się czego wstydzić, uważa. Nie powoływał się przecież na boskie moce. Nie twierdził, że leczy, on tylko wspomagał organizm. Nie reklamował się nawet. Ludzie trafiali do niego przez stronę internetową. Stosował terapię amigdalną, bo wierzy w jej skuteczność. Nikomu cudów nie obiecywał. Lojalnie każdego uprzedzał o możliwości wystąpienia skutków ubocznych: nudnościach, wymiotach, gorączce. Każdy podpisywał oświadczenie, że poddaje się kuracji dobrowolnie, na własną odpowiedzialność. A jednak K. nieco im pomagał w podjęciu decyzji. Poddany dziennikarskiej prowokacji i zapytany o najlepsze leczenie dla dziecka chorego na nowotwór mówi:

–Musimy pamiętać, że szpital nie popuści. Trzeba odwlekać chemię. Terapia trwa trzy tygodnie. To jest ta pierwsza faza u nas. Potem wraca się do domu i zaczyna się druga faza, która trwa co najmniej trzy miesiące. Przy zmianach w kościach trzeba założyć, że to będzie przynajmniej dziewięć miesięcy trwało. Nawet do dwóch lat może być. I ta chemia będzie nam tu przeszkadzała. Chemioterapia osłabia efekty tej terapii. Przecież chemioterapia nie leczy. Chemioterapia powoduje rozwój choroby nowotworowej.

* * *

Katarzyna Janiszewska: *W policji sprawdza się kandydatów.*

Prof. Włodzimierz Piątkowski, kierownik Zakładu Socjologii Zdrowia, Medycyny i Rodziny na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, autor wielu publikacji na temat leczenia niemedycznego: Nie tylko w policji, w różnych służbach. A dziwnym trafem w

medycynie kandydatów się nie selekcjonuje. Tak samo dziwnym trafem lekarz nie ma kasy fiskalnej, to jedyny taki zawód. Nawet taksówkarz ma kasę i wystawia rachunek. Lekarz jeszcze do niedawna brał pieniądze do kieszeni i rozliczał się ryczałtowo. Przeciętny gabinet to jakieś dziesięć–dwanaście tysięcy złotych miesięcznego dochodu. Medycyna to ogromny biznes, jeden z najbardziej intratnych „interesów” w tej chwili i będzie nim pewnie przez następne sto lat. Lobby lekarskie nie jest poddane żadnej kontroli społecznej. Rzecznik praw pacjenta to instytucja fasadowa. Na Zachodzie działa kilkanaście tysięcy stowarzyszeń broniących praw pacjentów. W Polsce może pięć. Lekarze są właściwie bezkarni. Zresztą uzdrowiciele też są bezkarni. Jak udowodnić przed sądem, że coś było złą praktyką, kiedy wszystko odbywa się w sferze subiektywnej?

Trudno jednak porównać ryzyko wycięcia zdrowej nerki z tym, jakie niesie ze sobą leczenie energią kosmiczną.

Tak, skala szkód jest zdecydowanie mniejsza. Medycyna dysponuje ogromnymi możliwościami technicznymi, ale czasem ta technika może też zaszkodzić. To broń obosieczna. Wystarczy, że chirurgowi drgnie ręka choćby o milimetr, żeby wyrządzić nieodwracalne szkody. Każda poważniejsza operacja wiąże się z ryzykiem. Każdy lek może powodować niekorzystne efekty uboczne. Lekarz ma aparaturę, która może pomóc, ale może też zaszkodzić. Uzdrowiacz ma energię która –jeśli założymy, że to placebo –nie narobi szkód. Ale można na przykład zagłodzić dziecko, bo tak radził nam uzdrowiciel. Są tacy, co zalecają picie nieoczyszczonej nafty albo ogłaszają, że wyleczą raka trzustki. To powinno być karalne, bo to wszystko oczywista nieprawda.

Jak często chorzy rezygnują z lekarza na rzecz uzdrowiaczy?

Rocznie umiera około pięciu tysięcy osób z rozpoznanymi nowotworami, bo albo przerwały leczenie pod wpływem sugestii bioenergoterapeutów, albo w ogóle się nie zgłosiły do lekarza, tylko leczyły się u uzdrowiacza, z wiadomym skutkiem, czyli zerowym.

W Lublinie około 1 procenta pacjentów rocznie wypisuje się ze szpitala w trakcie leczenia onkologicznego. Najpierw czekają na przyjęcie, wreszcie się dostają, mają zrobioną diagnostykę, przeszły radioterapię, chemię, są przygotowani do operacji. I w trakcie tych wszystkich przygotowań piszą podanie do ordynatora, że ze względów rodzinnych chcą się wypisać ze szpitala. My wiemy o co chodzi: przysłowiowy szwagier przeczytał w internecie, że klinika bioenergoterapii oferuje leczenie homeopatią, energią, świecowanie, konchowanie i tym podobne, i gwarantuje, że w sześć tygodni wyleczy z raka. To nieprawda. Ale są piękne zdjęcia kliniki, świadectwa rzekomo wyleczonych pacjentów. Przestraszeni chorzy, nieznający się na medycynie, łapią się na to. Onkologia to traumatyczne przeżycie, ludzie źle znoszą napromienianie, cytostatyki, wymiotują, włosy im wypadają, źle się czują psychicznie. Ale gdy przejdzie się przez to wszystko, to ma się około 35 procent szans na wyleczenie. A w bioenergoterapii –zero. To główne zagrożenie: odciąganie od lekarza, odkładanie wizyty, przerywanie leczenia. To się kończy powrotem chorych –bo żaden bioenergoterapeuta nie będzie leczył energią, jak już są przerzuty i stan terminalny –ale wtedy w szpitalu czeka tylko umieranie.

Na Zachodzie państwa pozwalają, by niektóre metody obniżania bólu, polepszania samopoczucia były stosowane komplementarnie, stanowiły uzupełnienie klasycznej terapii. Zabiegi paramedyczne są refundowane z kasy chorych, pod warunkiem że wykonuje je specjalista, który ma certyfikaty, kursy.

Medycyna postępuje tak, że problemy, którymi nie chce zawracać sobie głowy, „spycha” na terapie komplementarne. To jest bez sensu, bo to wszystko można zrobić w ramach medycyny naukowej. Stawiam tezę, że medycyna w XXI wieku nie powinna zostawiać pacjenta samego z jego chorobą, lękami, problemami. Po co ludzi odsyłać gdzieś na zewnątrz? Zostawiamy w ten sposób margines dla nieprofesjonalistów, którzy próbują pomagać po amatorsku. Nie odmawiam większości tych ludzi dobrych chęci, ale to nie jest profesjonalne. Oczywiście zawsze znajdą się osoby, które pójdą do tego, kto ma szklaną kulę. Ale to nie powinno być milion trzysta tysięcy wizyt rocznie. Oferta behawioralna powinna się znajdować w obrębie medycyny, nie poza nią. Lekarze przyznają mi często rację. Tylko że w praktyce ich tak zwane kwalifikacje miękkie, czyli umiejętność rozmowy, pocieszenia, wsparcia, są marginalne. Dlatego część ludzi szuka pomocy poza medycyną.